

ZAPOMNIANE HISTORIE

ANTOLOGIA GROZY



RW2010

ZAPOMNIANE HISTORIE
antologia grozy

zbiór pod redakcją Piotra Borlika

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2016

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Robert Wieczorek

Copyright © Oficyna wydawnicza RW2010

Okładka Copyright © Maciej Kaźmierczak 2016

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2016

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-202-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów
w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Dagmara Adwentowska

UMARŁYCH POGRZEBĄĆ

Dom, w którym ktoś umarł, wypełnia się dźwiękami na co dzień niesłyszalnymi lub ignorowanymi. Stają się niemal namacalne, nachalnie zawłaszczają uwagę... Jakby ściany i stropy, i wszystkie te martwe przedmioty w jakiejś tajemnej zмовie ze zmarłym próbowały zagłuszyć przerażającą ciszę bijącą od zwłok.

Moje uszy pełne były skrzypienia drewnianych podłóg, świstu wiatru wdzierającego się na poddasze wiejskiej chałupy przez nieszczelny dach, brzęczenia muchy objijającej się o szybę. Blaszane wiadro z wodą w kącie kuchni musiało przerdzewieć, kap, kap, kap, kropla za kroplą spadała na szare linoleum. Liczyłem te uderzenia, by nie zwariować. By nie myśleć o ciele dziadka stygnącym w sypialni w szerokim łóżku, o jego pomarszczonej twarzy, którą ksiądz, czy może lekarz, który stwierdził zgon, przykrył prześcieradłem, zanim wyszedł. Zostawili mnie samego, w pustym domu, ze zmarłym. Ja zaś bałem się cudzej śmierci tak samo jak własnej. Nigdy nie widziałem trupa, nie wiedziałem, co powinienem teraz z nim zrobić... a coś przecież musiałem. Tymczasem patrzyłem tępo na pokryte grubym kożuchem kakao i kanapki z odkrojoną skórką, obsychające na talerzu w drobne kwiatuszki; ostatnie śniadanie, które przygotowałem dla niewstającego już z łóżka staruszka. Patrzyłem, zegar tykał, za oknem robiło się coraz ciemniej, a ja trwałem w sztywnym stuporze, w kompletnym ogłuszeniu. I nadziei, że coś się stanie, ktoś się pojawi i zastąpi mnie w tych działaniach, które powinno się i musiało wykonać z ciałem.

Zmierzchało już, gdy moje wybawicielki zapukały do drzwi. Najpierw delikatnie, trzy razy. Potem, gdy się ociągałem, mocno i wielokrotnie. Nie pięścią, laską raczej. Otworzyłem.

– My do Henryka.

Nic nie odrzekłem. One zaś stały przez moment u progu, z wieczornym niebem nad głowami spowitymi w ciemne chustki, odziane w lekko wyblakłą czerń. Rozmodlone już w ten mamrocząco niezrozumiały i budzący niepokój sposób, uzbrojone w różańce i pełne wody święconej plastikowe maryjki z odkręcanymi główkami. Tuzin wiejskich starowin nie czekał ani na moje słowa, ani na zaproszenie czy pozwolenie. Wezwane zapewne przez księdza, babiny wtargnęły do sieni, rozpanoszyły się w kuchni i zaanektowały sypialnię. Czarnymi kirami zasłoniły zakurzone lustro na nieużywanej od lat babcinej toaletce i to okrągłe, w ramce ze sztucznego tworzywa, które wisiało w kuchni nad wiadrem z wodą do mycia rąk. Szperały w szafach w poszukiwaniu garnituru. Cały czas szepcząc modlitwy przywiedłymi wargami, nieubłagane szykowały dziadka w ostatnią podróż i równie nieubłagane mnie z tych przygotowań wykluczyły.

– Ty, Grzesiu, zrób nam kawy – rzekła tonem nieznoszącym sprzeciwu stara Bratniakowa, przewodząca temu sabatowi czarownic, przygarbiona i pomarszczona jak stuletnia wierzba. Z jej spojrzenia wyczytałem, że nie ma do mnie nawet odrobiny szacunku; w jej oczach byłem zdrajcą własnej rodziny, który zostawił zniedołężniatego dziadka samego na gospodarce, by żyć łatwym życiem w mieście, a teraz wrócił, by przysiąść jak kruk nad zwłokami.

Mimo to pospieszyłem spełnić jej prośbę, która wcale prośbą nie była. Odsunięcie od centrum wydarzeń, które w tej chwili stanowiło martwe ciało, było mi przecież bardzo na rękę. Otepiały, z ulgą pozwalałem babinom przestawiać się po domu jak zbyt duża i niepraktyczna komoda. Wreszcie wpasowałem się w krzesło w ciemnym kącie kuchni z mocnym postanowieniem, że nie postawię stopy w sypialni przez całe wymagane obyczajem tak zwane czuwanie przy zmarłym. Modlić się nie umiałem i nie miałem w zwyczaju, a samo myślenie o zwłokach budziło niepokój i odrazę. Nie chciałem dotykać zimnego już ciała, obmywać go i ubierać do trumny. W jakiś sposób narzucało mi to nieprzyjemne refleksje o własnej śmiertelności i nieuniknionej brzydocie tego, co po nas zostaje, gdy serce przestaje

bić, gaśnie mózg, a razem z nim życie. Nie rozumiałem też nic z działań, które dostrzegałem przez uchylone drzwi sypialni. W imię jakich guseł starowiny pchają dziadkowi pod poduszkę wiecheć ususzonych kwiatów? Dłonie związały mu różańcem... Żeby trzymały się razem, jak zacznie sztywnieć?

Uznałem, że dość się naogładałem tego spektaklu śmierci, i wyszedłem zapalić. Letnia noc była parna i cicha, co jakiś czas dobiegało mnie tylko szczekanie psów z odleglejszych gospodarstw lub szum auta sunącego po drodze powiatowej, smagającego światłami reflektorów ciemną ścianę lasu. Przysiadłem na schodku przed kapliczką, którą dziadek postawił przy drodze, gdy po wojnie cały i zdrowy wrócił z rodziną z robót w Niemczech. Pod stopami chrzęściła mi rachityczna, przywiedła trawa, nad głową snuły się siwe pasma dymu. Z domu dobiegały modlitwy. Przesączone przez ściany i krzaki bżów rosnące wokół chałupy zdawały się jednostajnym szmerem. Musiałem przysnąć lub zapaść w jakieś dziwne odrętwienie, bo nie zauważyłem zjeżdżającego z szosy zrobionego na wysoki połysk volkswagena sołtysa. Zareagowałem dopiero wtedy, gdy pierwszy po Bogu we wsi podszedł do mnie i położył mi rękę na ramieniu. Drgnąłem, z papierosa osypał się popiół.

– Wyrazy współczucia, panie Izdebniak – zagaił sołtys formalnie i urzędowo, splatając ogorzale dłonie na okazałym brzuchu. Jego eleganckie spodnie w kant i kraciasta marynarka pachniały kulkami na mole i dawno nieotwieraną szafą. Wyelegantował się specjalnie na spotkanie.

– Na każdego przychodzi jego pora, panie Strachota – odparłem filozoficznie i zdawkowo. Mogłem dla wygodnictwa i przez niechęć do martwego ciała dziadka pozwolić reprezentacji wiejskich wiedzów zająć się nocnym czuwaniem i pogrzebem, ale nie zamierzałem zwierzać się przewodnikowi tej rozplotkowanej i wtykającej nos w nie swoje sprawy miejsciny.

– Święte słowa – zgodził się Strachota łaskawie i machnął ręką w stronę volkswagena. – Kielbas wam przywiozłem. I prosiaki dwa ubiłem, na stypę będzie.

– Nie trzeba było. – Zawstydzilem się lekko, speszony nie prezentem, lecz bezwstydną swobodą, z jaką śmierć i życie splatają się ze sobą. Pomyślałem o martwym dziadku w sypialni i martwym prosiaku, kłopotliwych ciałach. Pierwszego nie chciałem już nigdy dotykać, a drugie pewnie będę musiał własnoręcznie oporządzić i podać na stół.

– Trzeba, trzeba – obruszył się sołtys. – Ty z miasta, to nie wiesz, że my tutaj sobie pomagamy nawzajem. Poza tym ojciec mój kazał. Mogę...? – Wskazał palcem na paczkę papierosów. Poczęstowany, zaciągnął się mocno dymem. – Pokłócili się zaraz po wyzwoleniu, gdy wrócili z robót przymusowych na swoje. Ponoć mój ojciec twojemu dziadkowi coś nagadał o jego żonie. Z tego wszystkiego nie odzywali się do siebie ponad pięćdziesiąt lat. Więc te świnki na stypę, to zdaje się jako przeprosiny...

Przyjąłem więc, bo jakże nie przyjąć. Zniosłem ubite prosiaki do zimnej piwnicy, przy okazji z ulgą stwierdzając, że zostały już wypatroszone. Poczęstowałem sołtysa kolejnym papierosem. Paliliśmy, stojąc w ciemnościach na schodku przed kapliczką.

– Panie Grzesiu. – Strachota klepnął mnie nagle familiarnie po ramieniu. – Mogę ci mówić: Grzesiu? Ja Marian jestem. Więc, Grzesiu... – przeszedł gładko na „ty” – wychodzi na to, że twoje teraz to wszystko. – Dłonią powiódł wokół, zagarniając pola złocące się już pszenicą, chałupę dziadkową, szopy, stodołę i sad za nią, na koniec palcem celując w murowaną kapliczkę górującą nad nami.

– Zgadza się – poświadczyłem ostrożnie. – Dziadek nie ma... nie miał więcej wnuków. Pan... panie Marianie, chce ziemię odkupić?

– Ja nie. Ale wiesz, my tu od dawna staramy się o porządną drogę przez wieś, dojazdową do powiatówki. I wszyscy ziemię pod budowę oddali, oprócz twojego dziadka.

– Nie wiedziałem.

I po prawdzie, nie chciałem dowiadywać się właśnie teraz.

– To dasz zgodę, Grzesiu? – przycisnął mnie Strachota. – Bo jak sprzedasz, to jaki obcy przyjdzie, a my tu między sobą swojaki, dogadamy się przecież...

Wymigałem się zmęczeniem i przygotowaniami do pogrzebu, uścisnąłem spracowaną rękę sołtysa, choć dotyk jego dłoni stał się dla mnie tak samo odrażający jak zimna skóra trupa. Zapewniając wielokrotnie, że sprawę rozważę, wepchnąłem go wreszcie niemal przemocą za kierownicę. Gdy światła volkswagena zniknęły w zagajniku, podszedłem do kapliczki. Solidny, murowany domek dziadek dawno temu pobielił wapnem. Teraz cała konstrukcja zdawała się bardziej szara niż biała, spękana jak powierzchnia rozbitego lustra. Nigdy nie sprawdziłem, jakiemu świętemu dziadek wybudował ten pałac na dwa metry wysoki – i postanowiłem, że czas się dowiedzieć. Uchyliłem przeszklone drzwiczki. Zajrzałem do środka, lecz nisza była pusta. Żadnej figurki czy choćby świętego obrazka, jaki ksiądz zostawia zazwyczaj po kolędzie. W środku zwiewne jak mgła, unoszone ciepłym oddechem letniej nocy, falowały nici pozrywanych pajęczyn.

Dom nie rozbrzmiewał już tajemniczymi szelestami, trzaskami i postukiwaniem. Wypełniała go po brzegi modlitwa szeptana przez żałobnie odziane babiny. Nawet słów nie mogłem rozróżnić – tylko jeden szum, jak odgłos odległego wodospadu. W sypialni, wokół łóżka, na którym spoczywały odziane w garnitur zwłoki, płonęły świece.

Chwycił mnie pusty śmiech, a zaraz potem gniew. Na wsi jeden drugiemu pomaga... a i owszem. Jeśli ma w tym interes! Nie z szacunku dla zmarłego te staruszki czy sołtys tutaj przyszli, nie z troski o mnie ani nawet nie dla dochowania wierności jakimś obyczajom, tutejszym czy też takim, które spod strzech za Bugiem przywieźli pod wypalane dachówki nad Odrą. Oni przyszli, żeby wyrwać trzymetrowy pas ogrodu z kapliczką pod nową drogę. Cała wieś już oddała, oprócz dziadka. Dasz zgodę, Grzesiu? Przecież nam nie odmówisz, dbamy o ciebie jak o swojaka, z pogrzebem samego nie zostawiamy... Po co ci ta ziemia, i tak zaraz sprzedasz, wrócisz do miasta i zapomnisz!

Pchnąłem drzwi do sypialni z taką siłą, że aż podmuch powietrza zgasił kilka świeczek przy stopach dziadka... bosych stopach. Starowiny odziały dziadka Henryka elegancko i kompletnie, tylko buty postawiły przy łóżku. W odwrotnej kolejności, jakby prawy na lewą nogę chciały zakładać. Modlitwy ucichły jak ucięte nożem.

– Proszę wyjść – oznajmiłem, choć na usta cisnęło mi się „wynocha, zmije”.

– Dziękuję za wszystko. Nie życzę sobie już pań obecności.

– Co ty, Grzesiu, gadasz? – Stara Bratniakowa skrzywiła się w imieniu wszystkich obecnych żałobnic. – Zrobię ci meliski, uspokoisz się.

– Nie chcę melisy. Nie chcę się uspokoić. Nie chcę waszych czarów-marów – warknąłem, głośniej, ostrzej i bardziej obcesowo niż planowałem.

Staruszki patrzyły na mnie nieruchomo. Niektóre międlily pustkę bezzębnymi dziąsłami. Wreszcie Bratniakowa podniosła się i sięgnęła po laskę, by z godnością wiekowej monarchini postąpić ku wyjściu. Na ten sygnał ruszyły się wszystkie.

– Żebyś nie żałował – rzuciła mi jeszcze Bratniakowa ponurym, zgryźliwym głosem starej czarownicy.

Ledwie się powstrzymałem, by za nią nie splunąć, jak mnie mijała. Gdy wiejskie babiny podreptały za swą prowodyrką, z hukiem zatrzaskałem drzwi za plecami ostatniej z nich. Nie przejmowałem się, jak w środku nocy starsze i w większości zniedołężniałe kobiety wrócą do swoich domostw. Same były sobie winne, ja ich tu nie ciągnąłem.

W sypialni pogasiłem świece, jeszcze tylko pożaru mi do szczęścia brakowało. Ze złością wyszarpnąłem spod poduszki zmarłego bukiet suszonych ziół, z rozmachem wywaliłem go przez okno. Odsloniłem lustro i przemogłem się, by założyć dziadkowi buty. Usunąwszy z sypialni i domu wszystkie ślady obecności starych wiedźm, czyli materialne oznaki tego, że na wsi ciemnota i zabobon trzyma się mocno, padłem jak podcięty na krzesło w kuchni. Znów byłem sam ze zmarłym. Dom ponownie zaczął stukać i trzeszczeć, z początku jakby nieśmiało, ale chwila po

chwili wypełniał się niepozornymi, urywanymi dźwiękami. Włączyłem radio, złapałem stację z piosenkami i podkręciłem głośność.

Gdzieś na krawędzi snu i jawy zdało mi się, że pomiędzy zwrotkami największego przeboju tego lata przebija się głos nienależący do piosenkarki. Że ktoś na mnie krzyczy gniewnie, przeklina, nakazuje coś, czego sens ginie wśród szumów i trzasków.

Do południa o tym, jak potraktowałem wiekowe żałobnice, wiedziała już cała wieś. Wszyscy mieli mnie za ostatniego łajdaka i podłego miastowego sukinsyna. Widziałem to w spojrzeniach pijaczków wystających przed jedynym sklepem. Słyszałem w szeptanych za moimi plecami pogardliwych uwagach. I na koniec poczułem w portfelu, gdy ksiądz zaśpiewał sobie za „co łaska, acz nie mniej niż...”, zwyczajowo przyjęte ponoć w tutejszej parafii za pogrzeb, a grabarz z pomocnikami za wykopanie mogiły, samochód i niesienie trumny.

Nie zwracałem na to uwagi. Zapłaciłem i z satysfakcją wyobraziłem sobie serpentynę, w jaką będzie musiała się zwinąć droga, by ominąć kapliczkę dziękczynną dziadka. Postanowiłem już, że ani centymetra ziemi nie oddam. W podzięce za sąsiedzką interesowną troskę. Gdy dziadek naprawdę potrzebował pomocy, jeszcze za życia, gdy nie miał już sił zająć się gospodarką, to pies z kulawą nogą go nie odwiedził. Wiedzieli, że im nie popuści i ogrodu pod drogę nie odda. Jak tylko zmarł, zlecieli się jak muchy do krowiego placka, pod pozorem nocnego czuwania. Myśleli, że mnie zmiękczą, wycisną zgodę. Niedoczekanie. Byłem przy tym łożu śmierci pierwszy, a obecność przy konającym kosztowała mnie dużo więcej niż kogokolwiek.

Tymczasem jednak musiałem odprowadzić dziadka Henryka na cmentarz. Poradziłem sobie z organizacją zaskakująco sprawnie, aż sam nie mogłem się

nadziwić. Buzująca we mnie wściekłość na małą, podłą, wiejską dwulicowość spaliła niepokój i strach przed zwłokami i śmiercią.

– Mieciu, krzesła powywracaj i możemy wynosić – zakomenderował odświętnie odziany grabarz z progu sypialni. Zagapił się przy tym na odsłonięte lustro w plastikowej ramie, przy którym właśnie wiązałem sobie krawat. Pochwyciłem w odbiciu jego spojrzenie.

– A czemu Mieciu ma meble wywracać? – spytałem, a właściwie warknąłem.

– Zawsze wywracamy – oznajmił grabarz z powagą – zanim wyniesiemy trumnę z domu. Żeby dusza nieboszczyka nie miała na czym usiąść. No przecież jak usiądzie, to ciało pogrzebiemy, a nieboszczyk w domu zostanie...

No przecież... Dusza na krześle usiądzie i zostanie. Na wersalce ani na wywróconym taborecie nie przycupnie z jakichś niepojętych powodów. A stać też nie może. Bowiem duszę bolą wtedy zapewne nogi. Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, a niektórzy ciągle wierzą w takie pourywane w połowie wyvodu, na poły zapomniane przesady. I całkowite brednie, które wymyślają sobie chyba sami na poczekaniu, pod wpływem pędzonego pokątnie bimbru i ostrego słońca podczas żniw.

– Panie Mieczysławie, pan zostawi te krzesła – poleciłem pomocnikowi ostro i pomimo jego protestów wszystkie meble pozostały na swoich miejscach.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Kasia Szewczyk i Jacek Skowroński: MASKI

Zbiór siedmiu przesyconych grozą historii, w których prawda i fałsz grają z czytelnikiem w ciuciubabkę. Nic nie jest oczywiste, zdrowy rozsądek może okazać się zdrajcą, a szaleństwo – błogosławieństwem. Po lekturze czytelnik zastanowi się sto razy, nim sięgnie po lukrowane pączki, nie zmruży oka, nocując w hotelu, i dowie się, do czego potrafi być zdolny człowiek kochający literaturę... ponad życie.

Joanna Łukowska: DRESZCZE

Opowiadane przez narratorów historie dotyczą przeżyć bolesnych, traumatycznych, po których pozostają widzialne i niewidzialne blizny; opisują stany, kiedy śmierć wydaje się jednym rozwiązaniem; wnikają w świat niesamowity, z pogranicza horroru, thrillera, fantastyki; zagłębiają się w szarość ludzkiej samotności...

Myślimy, że zło przytrafia się innym – dopóki nie dotknie nas swoimi zimnymi palcami, nie złapie za gardło, nie ścisnie za serce.

Z otchłani ratuje nas miłość, przyjazna dłoń, drugi człowiek. Bo sami dla siebie jesteśmy demonami i aniołami.

Piotr Sikorski: STREFA LĘKU

By zapanować nad naszą wewnętrzną strefą lęku, musimy najpierw ją nazwać, zdefiniować jej przyczyny, a potem stanąć twarzą w twarz z naszymi największymi koszmarami. Bohaterowie zbioru opowiadań „Strefa lęku” wpadli w sidła strachu. Czy zdołali się z nich wydostać? Strach jest częścią naszego życia, towarzyszy nam od dzieciństwa. Czy można przed nim uciec? A może lepiej nauczyć się go kontrolować?

Prezentujemy pięć opowiadań. W każdym z nich strach ma inną twarz, która objawia się odmiennych sceneriach. Bo strach jest przebiegły i może nas dopaść w każdej chwili, nawet podczas snu.

Marian Kowalski: MROczne DZIEDZICTWO

Spotykają się na zjeździe poświęconym zjawiskom nadprzyrodzonym. Daniel jest sceptycznym niemieckim dziennikarzem, żyjącym teraźniejszością, nieczującym związku z rodziną i jej historią. Irena to polska rzeźbiarka, za którą ciągnie się tren odległej przeszłości. Mroczna scheda po przodkach nie daje o sobie zapomnieć. Ma wpływ na jej obecne życie oraz na losy związanych z nią mężczyzn. Na plenerze rzeźbi posązek swej dalekiej krewnej spalonej na stosie; duch kasztelanki – opiekuńczy? żądny zemsty? – wciąż jej towarzyszy.

W powieści przewija się wątek Inkwizycji i procesów budowanych na pomówieniach; pojawiają się postaci „czarownic”, ich bezlitosnych sędziów, oraz potomków jednych i drugich.

W historii pełnej tajemnic nie może zabraknąć motywu ukrytego skarbu, sporów rodzinnych sprzed wieków prowadzących do okrutnej śmierci i nagłych a niejasnych zgonów w teraźniejszości. Wiele

tu legend, aluzji, dywagacji oraz... uczucia. „Mroczne dziedzictwo” to niesamowita opowieść o miłości, przeznaczeniu, szukaniu miejsca w życiu, to historia intrygująca i fascynująca.

Marian Kowalski: WOŁANIE MEW

Inga i Joachim Krafft żyją banalnie, zmysłowo. On – Mazur z pochodzenia – dobrze wszedł w wielkomięjski pejzaż, ona – córka polskiego marynarza – nie zadowala się tym, co ma, pragnie czegoś więcej niż podziw mężczyzn i niesłabnące pożądania kochanka-opiekuna. Nie wystarcza jej dostępne szczęście i osiągnięta już stabilizacja. Pełna sprzeczności, dążeń i pretensji do świata nie potrafi spokojnie żyć u boku Joachima. Chce czegoś dokonać, zasłużyć na... nieśmiertelność. Pragnie zostać dziennikarką, marzy o rejsie jachtem. Ale gdy w końcu namawia Joachima na wyprawę po Morzu Północnym, rzeczywistość i wszechobecne mewy napawają ją lękiem...

Na chwilę znajduje wytchnienie wśród norweskich fiordów, u boku dwóch zauroczonych nią mężczyzn. W odmiennym krajobrazie wierzy, że odnajdzie cel. Tu wszystko ma swą nazwę, głębszy sens, nie sprowadza się tylko do seksu. Ale i tu są mewy, tajemnice i dziwna, czająca się wśród wrzosowisk i bagien groza. Może od przeznaczenia nie da się uciec...? Jak to się skończy, czy Inga znajdzie to, czego szukała, czy odmieni swoje życie, nagrywając wymarzoną świąteczną audycję o ludziach morza?

Katarzyna Uznańska: ZIEMIĄ WYPEŁNISZ JEJ USTA

Gdy łowca staje się ofiarą...

Królewskie miasto nie zasypia nigdy, ale dopiero po zmroku budzą się jego upiory. Łowca, skryty w cieniu starych kamienic, poluje na samotne kobiety, by podzielić się ich ciałami z rzeką. Ta noc będzie dla niego wyzwaniem – z prześladowcy stanie się ofiarą. Utarty schemat życia Łowcy rozpadnie się w pył, gdy mężczyźni przyjdzie zmagać się z podobną mu, choć o wiele potężniejszą istotą – estrią.

Ina – polska szlachcianka – egzystuje od wieków pod postacią żydowskiego demona; czuje jednak, że jej czas dobiega końca. Wybrała Łowcę na powiernika swojej historii, a może kogoś znacznie więcej...

W powieści teraźniejszość splata się z historią i mitem, tworząc współczesną baśń o ludzkich pragnieniach i przekraczaniu granic w pogoni za ich zaspokojeniem.

GDZIEŚ DALEKO STĄD

antologia opowiadań

Wędrowcy, włóczędzy, wagabundzi

Wędrowcy przemierzający dalekie strony. Włóczędzy odchodzący w siną dal. Wagabundzi uciekający byle dalej.

Autorzy niniejszego zbioru poszybowali wysoko na skrzydłach fantazji, zesłi głęboko w labirynt wyobraźni, zapuścili się daleko w gęstwą marzeń, snów i koszmarów - wszystko po to, by oderwać się od tego, co bliskie, i choć na moment znaleźć się gdzieś daleko stąd. Od pustyń Lewantu, przez otchłanie galaktyk, po zawikłane mapy ludzkich losów, każde z tych dziesięciu opowiadań zabierze Cię w podróż, której przecież tak bardzo potrzebujesz. Jak my wszyscy.

BIERZ MNIE

antologia opowiadań zmysłowych

Cielesne uciechy, gorące spojrzenia, złamane serca.

Ludzie pióra płci obojga kochają nie tylko książki, i nie z samej jedynie literatury czerpią rozkosz – są przecież przede wszystkim kobietami i mężczyznami. Autorki i autorzy niniejszej antologii spłodzili oto dziewięć śmiałych opowiadań o tym, co najbardziej ludzkie, choć często i obce, dla czytelniczek i czytelników otwartych na nowe doznania.

Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość łączą się tu z miejscami bliskimi i dalekimi, nauka i magia z intymnością i pożądaniem, a piękność z potwornością; egzotyka splata się ze swojskością, subtelność z dosadnością, a miłość z seksem.

Z tego mariażu narodził się zbiór pobudzający zmysły i podniecający wyobraźnię, ale też dający do myślenia – nie tylko w długą, bezseną noc.

NIEDOCZEKANIE

Gdyby babcia miała wąsy, czyli antologia historii alternatywnych.

Co by było, gdyby było inaczej, niż jest? Historie alternatywne to doskonała pożywka dla wyobraźni i niezły sposób na odreagowanie niepowodzeń jednostek i zbiorowości. Bo przecież gdyby wtedy, dawno temu, coś potoczyło się inaczej, to dzisiaj wszyscy byliby zdrowi, bogaci i szczęśliwi. Albo i nie...

Niedoczekanie... Od alternatywy na parę, przez gwiazdnych wojowników i nieśmiertelne dynastie, po kolonializm na odwrót – antologia ośmiu historii alternatywnych z podniesionym czołem odpowiada na pytanie: co by było gdyby?

Antologię „Niedoczekanie” promuje opowiadanie „Parowy Hycel”. Kto parą wojuje, od pary ginie! Krzysztof Kochański bierze na warsztat fascynującą konwencję steampunku i brawurowo nadaje jej autorski szlif godny kunsztu weterana polskiej fantastyki. W świecie na pozór rodem z pozytywistycznych powieści wiek pary i elektryczności okazuje się być wiekiem pary, mechaniki, chemii i... zmysłowości!

DO DIABŁA Z BOGIEM

Antologia opowiadań fantastycznych

Opium dla ludu w 10 odsłonach

Do diabła z bogiem... Ale którym bogiem? Do jakiego diabła i po co? Dziesięciu autorów tej fantastycznej antologii odpowiada na dziesięć różnych sposobów – nigdy jednak na klęczkach.

Czy pisarze zajmujący się fantastyką mogą pisać o religiach? Zbiór opowiadań, który prezentujemy, dowodzi, że nie tylko mogą, ale powinni! Efekt konfrontacji wiary z rozumem, przeszłości z przyszłością, magii z fantazją może Was zaskoczyć. I prędzej czy później niektórzy z was dojdą do wniosku, że to wszystko jest... fikcją.

SZABLĄ I WĄSEM

Antologia opowiadań sarmackich

Szablą i wąsem, ogniem i mieczem, kontuszem i dworkiem.

Prawdziwych Sarmatów już nie ma. Co się nam ostało? Ognie i miecze, potopy, Wołodyjowskie pany... Wilcze gniazda, diabły łańcuckie, samozwańce... Charakterniki, szubieniczniki i lichy wie, co jeszcze... No i fajnie, ale czy fikcyjni Sarmaci muszą być wszyscy na jedno kopyto?

„Szablą i wąsem” to zbiór opowiadań polskich autorek i autorów, którzy Sarmacji nadmierną rewerencją nie darzą i opowiedzieć chcą o niej inne, świeższe historie. A opowiadać jest przecież o czym. Czasy Pierwszej Rzeczypospolitej to sensacje, thrillery i komedie pisane historią, której niestety albo się wstydzimy, albo którą się chełpimy, zamiast po prostu się nią interesować. Zebrane w tym tomie opowiadania gromko jednak krzyczą „Veto!” i na spuściznę po Sarmacji patrzą z nowego punktu widzenia, czasem trzeźwo, czasem krzywo, a czasem zezem.

Od latających machin królowej Ludwiki, przez patriotyzm diabła Boruty, po alternatywne oblężenie Jasnej Góry – ten fantastyczny zbiorek bez czołobitności wyciąga z legendy i historii Sarmacji to, o czym wciąż warto snuć opowieści.

ŚWIATY RÓWNOLEGŁE

Antologia opowiadań fantastycznych

Sekcja literacka ŚKF w akcji

Jaki los czeka małą dziewczynkę i jej ojca osamotnionych w postapokaliptycznym zimowym świecie? Czy genetycznie udoskonalony detektyw rozwiąże sprawę brutalnych morderstw? Co wydarzyło się na L’Isle d’Escargot, jak kończy się przywołanie ducha Chopina i kim naprawdę jest syn śląskiego alchemika, który od najwcześniejszego dzieciństwa ma wrażenie, że wszyscy prócz niego żyją z jakąś straszną tajemnicą?

W „Światach równoległych” znajdziemy opowiadania zarówno autorów znanych i nagradzanych, jak i debiutantów. Znajdziemy SF twarde i humorystyczne, grozę, groteskę, kryminał oraz fantasy w różnych odcieniach. Wszystkie te teksty łączy jedno – udowadniają one, że jeśli szukać gdzieś literackich talentów, to przede wszystkim w Śląskim Klubie Fantastyki.

ANTOLOGIA „KRYMINALNA 13”

to jedyny w swoim rodzaju projekt, firmujący pierwszy konkurs literacki organizowany przez Oficynę wydawniczą RW2010. Znaleźliśmy 13 specjalistów od zbrodni, 13 sprawdzonych fachowców od literackiej mokrej roboty i umieściliśmy ich zabójczo świetne opowiadania w jednym zbiorze. Zarazem poprosiliśmy szanowne autorskie grono, aby wzięło udział w pracach profesjonalnego, kompetentnego i niezależnego jury.

Zapraszam do lektury naszej antologii. Prezentujemy wysmakowany zestaw opowiadań kryminalnych i sensacyjnych, podlanych tajemnicą, doprawionych szczyptą fantastyki, zbiór tekstów na wskroś współczesnych oraz sięgających w przeszłość, a nawet dotykających wydarzeń i postaci historycznych.

Przed Wami ponad 250 stron, 13 autorów i jeden motyw...